

Zapiski z Krainy Serdeczności czyli z literacką wizytą na Żmudzi

Z okazji dwudziestolecia istnienia Związku Literatów na Mazowszu wyruszamy na Litwę, a dokładnie do jednego z jej regionów – na Żmudź. Do Kiejdan, na Laudę, do Kowna. Jedziemy w siedmioro: prezes Teresa Kaczorowska, Stanisław Kęsik, Wiktor Golubski, Zdzisław Zembrzycki, Marek Piotrowski i niżej podpisany. Za kierownicą busa Powiatowego Centrum Kultury i Sztuki im. M. Konopnickiej w Ciechanowie nieoceniony kierowca, Sławomir Osiecki. Pakujemy manatki, wsiadamy i w drogę.

W Ciechanowie i 160 kilometrów dalej słonecznie, ostatnie promienie złotej polskiej jesieni. Ale już za Różanem i pod Ostrołęką deszcz. Taki skośny, jesienny i zimny. Jeszcze tego nie wiemy, ale będzie nam towarzyszył przez cały czas naszej wyprawy.

W okolicy Szypliszek, kilka kilometrów przed granicą, siadamy w Karczmie „Wilczy Głód” na obiad. Co można zamówić jadąc na Litwę? Oczywiście kartacze, zwane także zeppelinami. Wesoło parują na talerzach, a potem błyskawicznie znikają. Cóż, jak karczma zwie się „Wilczy Głód”, to nie może być inaczej!

Po obiedzie ktoś jeszcze biegnie kupić pieniądze, czyli wymienić złotówki na euro, potem wsiadamy, odliczamy się, czy wszyscy są, i dalej w drogę.

Błoto. Wszędzie błoto. Dobre ziemie, więc woda tak łatwo nie wsiąka i dlatego takie błoto. Źle zmeliorowane (albo wcale) pola jak małe jeziora. I tak jakoś nagle ze wsząd szaro. Zabudowania rodem z lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Niemal na każdym dachu eternit! I żadnych nowych budynków. Smutna, stara szarość. Tak wita nas Litwa.

Ta szarość i zatrzymanie w poprzednim systemie czas jakoś kłóci się z wyobrażeniami. Przecież Litwa wstąpiła do Unii Europejskiej dokładnie w ten sam dzień, co Polska. Już trzynaście lat z okładem! A tymczasem jakoś to mniej widać niż u nas. Mówiąc wprost, wcale tego nie widać. Podobnie jak deszcz, to wrażenie już nas na Litwie nie opuści...

W Kiejdanach już noc. Zatrzymujemy się na jednym z sześciu kiejdańskich rynków tuż przy zabytkowych synagogach, wysiadamy, a tu... ziąb! Mroźne, zimowe powietrze. Prezes Teresa Kaczorowska, która przygotowała tę wyprawę i cały czas nią kieruje, dzwoni do Pani Ireny Duchowskiej, naszej żmudzkiej przewodniczki. Pani Irena Duchowska już jest w Kiejdanach, czeka na nas już ponad godzinę. Rozglądamy się po zimnych kamienicach, niektórzy palimy, a wraz z dymem wypuszczamy pierwsze tej jesieni obłoczki pary z ust.

Pani Irena jest Polką z litewskim dowodem osobistym. Urodziła się w Wilnie. Całe jej życie to jedno wielkie zmaganie. Najpierw w radzieckiej szkole, gdzie traktowano ją – Polkę – jako uczennicę gorszego sortu, choć miała same piątki! Nie chciała się zapisać do pionierów, nie chciała nosić czerwonej krawatki i choćby w szkole na uszach stawiała, i tak wszystko było źle. Potem studia pedagogiczne w Wilnie, dorosłość, nieudane małżeństwo i została na Żmudzi (w miejscowości Akademia) sama

z trójką małych dzieci. Ponad trzydzieści lat uczyła tam w szkole średniej fizyki. Wątpia, nauczycielska pensyjka, upływający czas, radziecka rzeczywistość wokół i, wydawałoby się, beznadzieja. Tymczasem, Pani Irenka znalazła do tego wszystkiego mocny, pełen nadziei klucz. Polskość na Żmudzi. Dogłębnie poznała polską historię i literaturę regionu, wyszlifowała język i poczuła się na Żmudzi stuprocentową Polką!

„Zawsze i wszędzie byłam ta *inna*, mówi, czyli gorsza. Dla Rosjan radzieckich podejrzana, bo bezpartyjna, dla Litwinów jak kolec w oku, bo Polka. Ale właśnie ta polska *inność* dawała mi siłę.” Z czasem zaczęła pisać poezję. Najpierw dla samej siebie, do szuflady, aż wreszcie w formie tomików: *Znad Issy* (2004), *Głos z Laudy* (2005), *Mój testament* (2006), *Miraże* (2007), *Sentymenty* (2014) i *We mgle* (2016). I wszystko w języku polskim. Choć mogła i po rosyjsku, i po litewsku, ale tylko po polsku, jak powtarza, potrafi naprawdę wyrazić swoje serce i duszę. Ale nie ma poezji po polsku to wszystko się skończyło. Pani Irenka odnalazła sens w działalności polonijnej. W wieloletnim, uporczywym przypominaniu wszystkim wokół, że i na Żmudzi ciągle żyją Polacy. Że niemal wszyscy mówią albo rozumieją po polsku i mają gdzieś głęboko w sercach tęsknotę za Polską. Zaczęła zapraszać Polaków z Rzeczypospolitej, żeby przyjechali, mówili, śpiewali, tańczyli po polsku. Żeby tam, na Żmudzi, na Laudzie bywali. I przypominali o polskiej tożsamości tamtych ziem. Z czasem szeroko rozwinęła swoją działalność, została Prezesem Stowarzyszenia Polaków Kiejdan i ma wiele kontaktów po obydwu stronach granicy. Ostatnio gościła na XIII Międzynarodowym Festiwalu M.K. Sarbiewskiego, także na XXII Jesieni Poezji, zapraszając nas do odwiedzenia swojej Żmudzi, krainy „Potopu” Sienkiewicza, Miłosza, Makuszyńskiego, Mickiewicza. I oto jesteśmy. Zziębnięci, zmoczeni deszczem, ale wielce zaciekawieni.

Teraz wita się z nami serdecznie, każe wypakowywać bagaże i prowadzi do trzygwiazdkowego Hotelu „Grėjaus Namas” („Dom Grey’a”), gdzie mamy zakwaterowanie. „Jak już się rozgościcie, to schodźcie na dół, bo zaraz kolacja w kawiarni «Savas Kampas». To blisko, przy tej samej ulicy, dwa kroki stąd.”

Kawiarnia jest stylowa, ma ceglane ściany, ciepłe światła i duży stół, przy którym siadamy. Zupa, drugie danie i litewski chleb z kminkiem. „Jej matka – Pani Irena pokazują kelnerkę – dobrze mówi po polsku. Trudno powiedzieć, czy jest Polką, ale mówi po polsku i wszystko rozumie”. W tym jednym zdaniu streszcza specyfikę tamtych stron. Niby wszyscy są na papierze Litwinami, ale... nie są do końca. I nie wiadomo, w jakim momencie może się okazać, że doskonale rozumieją język polski. Pomimo tylu zawieruch historycznych, powstań, wojen i zmian granic, ta polskość wszędzie tam jest. I to mocna, bardzo mocna, bo od zawsze niosąca rozwój intelektualny i ekonomiczny. Wszyscy, Sowietci, Litwini, decydenci z Jałty i im podobni, starali się ją wykarzcować, wypłenić, zapomnieć o niej, a ona, ta nasza skromna, wierzbowa, szopenowska polskość się odradza i trwa. Pomimo. „Być pomimo” to powinno stać się naszym narodowym zawołaniem, myślę sobie. Być pomimo beznadziejnych sąsiadów geopolitycznych, być pomimo naszych polskich podziałów, pomimo naszych „drzwiczek-zbyliczek” i wszędybylskich „jakoś to będzie”. A jednak ta nasza polskość trwa i ma się nie najgorzej. Bo zawsze bywa, czy chcemy tego, czy nie chcemy... pomimo. Pewnie dziwne to i niezrozumiałe dla innych narodów, ale dla nas doskonale czytelne. I na dodatek się sprawdza!

„Na jutro przewidziałam maraton zwiedzania – mówi Pani Irenka. – Do południa: śladami „Potopu”: Pacunele, Wodokty, Mitrumy... – wymienia – A potem, po obiedzie Burbiszki, Świętobrość, Szetejnie i Opitołoki. A na koniec, wieczorne spotkanie literackie tu, w tej kawiarni. Będzie nam śpiewał polski zespół folklorystyczny. Dacie radę?” I patrzy na nas, czy damy. „Jak to nie damy?!... – zdają się mówić arcywłoskie facyjaty Stasia Kęsika, Zdzisia Zembrzyckiego, Marka Piotrowskiego i niżej podpisanego. – A bo to jedną wojnę przetrwaliśmy?! A bo to jedno powstanie?!... I daliśmy, panowie radę, co nie?! Co to dla nas jakieś tam... Burbiszki czy i inne Opitołoki! Wszystko zwiedzimy i nawet guzika nie oddamy! Jeszcze zobaczycie!”

Nazajutrz rano deszcz jest tam, gdzie go wczoraj nie było, czyli wszędzie. Siąpi dżdżyscie i dzwoni miarowo. Ale dla nas taki deszcz to nic. Dla nas taki deszcz to zaledwie, jak to się mówi, „małe piwko przed śniadaniem”. Tak więc, silni, zwarci i gotowi, stawiamy się do zwiedzania.



Powitanie w szkole w Pacunelach.

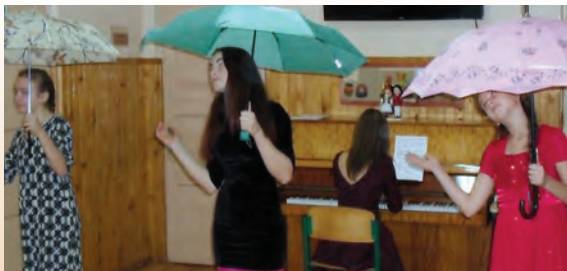
Pacunele to niewielka miejscowość, zagubiona w nizinym, żmudzkim krajobrazie. Utrwalona w „Potopie” przez Henryka Sienkiewicza, jako miejsce „pięknych dziewcząt”... Dziś szara, już bez dawnych hutorów i zaścianków. I pewnie przez cały rok senna, jak to na prowincji. Szkoła z białej cegły, piętrowa, poszarzała. Taka nasza „Tysiąclatka”. Wchodzimy i zaraz po przestąpieniu proga... gra kapela! Na nasze powitanie.

Pan gra na kontrabasie, mały chłopiec na werbelku, a pani na harmoszcze. I grają skoczną melodię. Powitalną. A mnie się serce ściska. Bo dla nas, ludzi gdzieś z daleka, nagle tu, na skromnej żmudzkiej ziemi takie powitanie?!...

Po chwili pojawia się dyrektor szkoły, Litwin, pan Anatolijus Gailiūnas. Wita się szczerze, podaje rękę i z uśmiechem każe przechodzić dalej. Na piętro, do szkolnej auli, gdzie występ dzieci, zwiedzanie szkoły i poczęstunek. Serdeczność. Tak, serdeczność, to jest imię tamtej ziemi. „Kraina serdeczności” – przychodzi mi na myśl, kiedy idę stromymi schodami na górę. Serdeczność i jakieś wewnętrzne dobro tamtych ludzi. Jakby z tej lepszej części Wszechświata zostali ulepieni. Lepszej niż zimne i oschłe istoty zachodniej Europy. Przecież pan dyrektor Gailiūnas jest na wskroś Litwinem i mógłby odnieść się do nas, Polaków i „okupantów Litwy” z daleko idącą rezerwą, a jednak nie. On zdaje się wiedzieć, że my, Polacy, nie mamy w sobie nic z okupantów sowieckich czy niemieckich. I to nie nasza wina, że kiedyś Litwa i Polska to było jedno państwo. Taki już historyczny los tych naszych narodów. I nic nie poradzisz, że nasze narodowe historie się dotąd przenikają. I może pan dyrektor wie, że przecież w naszej literaturze i w powszechnej świadomości nie ma tak naprawdę nic złego o Litwinach. Że albo niewiele o nich wiemy, albo traktujemy ich jako współbraci w sowieckiej niedoli i tyle. I tylko tyle. Bez wrogości. Bo po co jakaś tam wrogość? Przecież nic dobrego nie daje.

W auli stół już zastawiony. Talerze, spodki, a na nich słodkości. Cukierki czekoladowe o wdzięcznej nazwie „Pupa”..., kandyzowane łakocie marchwiowe i buraczane. Poza tym kawa i herbata. W korytarzyki ustawione dzieci do występu. Czuwa nad nimi pani od muzyki o pięknych oczach i sukience godnej butików Mediolanu. Zaraz występ się rozpocznie. Zaraz zagrają i zaśpiewają.

Pierwsza wychodzi na scenę dziewczynka w okularach. Śpiewa z dziecięcym wdziękiem piosnkę o pajakach i o tkaniu – można powiedzieć o poezji... Potem pojawia się trio z parasolkami. Melodyjne „kap, kap”, co kilka fraz – tyle rozumiemy z litewskiego tekstu. Ale i tak nam się podoba. Śliczne, deszczowe dziewczęta przywołują na pamięć to, co we wstępie do „Potopu” napisał Sienkiewicz o urodzie mieszkank Pacunel: *panny ich słynęły pięknoscią, tak iż w końcu wszystkie gładkie dziewczęta w okolicy Krakinowa, Poniewieża i Upi-ty pacunelkami nazywano.*



Występ uczennic ze szkoły w Pacunelach.

Po występie uczniów kolei na nas. Czytamy po jednym wierszu, a Pani Irena tłumaczy na litewski ich sens i wymowę.

Powoli kończy się nasza wizyta w szkole w sienkiewiczowskich Pacunelach. Na odchodnym dostajemy souvenirs – po kartoniku domowej roboty tutejszych specjalów: smakowanych już przez nas kandyzowanych, warzywnych przekąsek i ziołowych herbatek, i po małym wyrobie garncarskim, tworzonym przez uczniów na szkolnych warsztatach. Żegnamy się ze szkołą i udajemy do pobliskiego kościoła oraz na cmentarz. Prowadzi nas tamtejszy proboszcz. Otwiera stary, drewniany kościół i opowiada o jego historii i trudnej teraźniejszości. „Wiernych co kot napłakał – mówi. – Ale ci, co są, mają wielkie serca.”

Na cmentarzu co drugi grób z polskimi nazwiskami. Ale co się dziwić, skoro przed 1939 rokiem Litwini byli tu mniejszością narodową.

Opuszczamy sympatyczne Pacunele i udajemy się do znanych z „Potopu” Henryka Sienkiewicza Wodokt. Pan Vidmantas Blužas, wójt Gminy Sidavbrava, do której należą Wodokty, już na nas czeka przy kościele. Z dumą pokazuje tablicę poświęconą Henrykowi Sienkiewiczowi, a odsłoniętą w ubiegłym roku z okazji setnej rocznicy śmierci polskiego Noblisty. Potem zaprasza, aby zwiedzić kościół. „Ludzi na msze przychodzi niewiele – mówi. – Coraz mniej.



Tablica na kościele w Wodoktach, upamiętniająca setną rocznicę śmierci Henryka Sienkiewicza.

A młodych prawie wcale nie ma... Ale o kościół, na ile możemy, to dbamy. Skromne to wszystko, ale cóż, tu wszystko jest skromne. Zimą zeszłego roku byliśmy w zaprzyjaźnionym, kurpiowskim Kadzidle. W tamtejszym kościele było ludno i tak ciepło, że niektórzy zaczęli rozpinąć palta. Pierwszy raz w życiu byli w ogrzewanym kościele!...”

Po odwiedzinach w kościele i spacerze po cmentarzu, gdzie znowu pełno polskich grobów, pan Blužas zaprasza do miejscowego domu kultury, gdzie przygotowano dla nas coś na ząb. Dom kultury, na zewnątrz skromnusiutki i smutny, ale za to wewnątrz sama serdeczność. Specjalnie dla nas, zmarzniętych i przemoczonych, rozpalało w kominku! Wesoło płoną polana, a na stole pojawia się kielbasa na gorąco z kapustą i ziemniakami. Smaczne wszystko, świeże, gorące i polskie, że palce lizać.

Na pożegnanie Pan Wójt zaprasza nas w ponowne odwiedzinę. Na 6 lipca przyszłego roku, na najważniejsze na Litwie święto – Dni Mendoga. „Koniecznie przyjeżdżajcie!” – zachęca, oferując noclegi, zakwaterowanie, pomoc organizacyjną. W zamian otrzymuje od nas nasz najlepszy „wyrób narodowy” (Wyborową) oraz tomiki poetów, w tym pachnący jeszcze farbą drukarską zeszyt poetycki Marka Piotrowskiego pt. *Zachor – pamiętaj* i zapewnienie, że na pewno się pojawimy.

Opuszczamy „kraj Sienkiewicza”, żeby przebieść się do Burbiszek, do „krajny Kornela Makuszyńskiego”. To stamtąd, z rozległego i znakomicie prosperującego majątku Burbiszki, pochodziła jego żona, Emilia Bażeńska (1881-1926), córka Michała Ignacego Bażeńskiego (zm. w 1902 r.), właściciela majątku Burbiszki (Burbiškės) w obecnym rejonie radziwiłiskim (Radviliškės) na Żmudzi. Makuszyński poznał Emilię studiując na Uniwersytecie we Lwowie, a potem bywał u niej wielokrotnie. Dużo w Burbiszkach pisał (m.in. poemat „Pieśń o Ojczyźnie”), ponadto administrował jednym z majątków żony.



Pan Wójt Vidmantas Blužas z podarunkami z Polski.



Ciechanowscy literaci pod pomnikiem Adama Mickiewicza w Burbiszkach.

Idąc przepięknymi, malowanymi jesienią alejami do pałacu Bażeńskich fotografujemy się z Adamem Mickiewiczem, którego pomnik znajduje się w reprezentacyjnym miejscu wspaniale dziś zrewitalizowanego (dzięki funduszom UE) parku. Jest to pierwszy na Litwie pomnik Adama Mickiewicza, dłuta Kazimierza Ulańskiego (1878-1914) z Poniewieża, ucznia Konstantego Laszczki z Krakowa.

Warto przypomnieć, że po roku narzeczeństwa Emilia Bażeńska i Kornel Makuszyński pobrali się i w latach 1913-1914 mieszkali w Burbiszkach. Rozko-

chany w architekturze zakopiańskiej Kornel Makuszyński, nawet przywiózł spod Tatr domek i postawił go w parku. Było to kuriozum, ponieważ na równinach żmudzkich domek zakopiański niezbyt dobrze się prezentował. Domek Makuszyńskiego w Burbiszkach przetrwał do drugiej wojny światowej i dopiero wtedy spłonął z częścią zabudowań dworskich. To w Burbiszkach zastała Makuszyńskiego I wojna światowa. I jako obywatela wrogiego Rosji państwa austriackiego, aresztowano go i internowano z żoną w głębi Rosji. We wrześniu 1914 r. Makuszyńscy wyjechali do Kostromy – dzięki staraniom szwagra Michała Bażeńkiego, a także pomocy aktorów Stanisławy Wysockiej i Juliusza Osterwy, zwolniono ich z internowania i pozwolono w 1915 r. zamieszkać w Kijowie, gdzie pisarz został prezesem Związku Literatów i Dziennikarzy Polskich oraz kierownikiem literackim Teatru Polskiego. W 1918 r. Makuszyńscy wrócili do Polski i zamieszkali w Warszawie. W 1924 r. Makuszyński wydał poemat „Pieśń o ojczyźnie”, za który w 1926 r. otrzymał nagrodę państwową. W latach 1922-25 Makuszyńscy bywali w Burbiszkach, ponieważ Emilia miała w sąsiedztwie folwark Pojule, który dzierżawił, a później kupił, brat Michał. Emilia zmarła w 1926 r. na gruźlicę. Pochowano ją na Powązkach obok grobu Władysława Stanisława Reymonta, jej przyjaciela. Makuszyńska miała wielu przyjaciół pośród literatów. W jej sztambuchu pozostały wpisy m.in. Józefa Weyssenhoffa, Edwarda Leszczyńskiego, Włodzimierza Perzyńskiego. Po śmierci żony Kornel Makuszyński zerwał z Litwą, nigdy więcej tam nie pojechał. Jednakże wspomnienia z Litwy pozostawił w następujących strofach: „W tamtej to stronie lud jest zasiedziały, / Jak dąb wieczysty, zasię w jego słojach, / Tysiąc wyczytasz lat żywota chwały, / Serce swe dumnie zahartował w bojach, / Krwią nie inkaustem pisząc swe annały... / Co w jakichś starych wyczytałem zwojach. / Zaś ja, włóczęga, ciągle śniąc o gwieździe, / Żonę w litewskim tem znalazłem gnieździe. / Stąd moje z Litwą krewieństwo i miłość (...)

Niedawno odrestaurowany po wielu dziesięcioleciach sowieckiego zniszczenia pałac i przyległe zabudowania robią na nas spore wrażenie. Tym bardziej, że jest w tym wszystkim jakaś pozytywistyczna, a więc jakże bliska nam nuta. Brat Emilii Bażeńskiej, Michał Bażeński, właściciel majątku, był człowiekiem na wskroś nowoczesnym i praktycznym. Już w pierwszym dziesięcioleciu XX wieku miał samochód, słuchał radia, a przede wszystkim w perfekcyjny sposób dbał o powierzoną mu przez tradycję rodzinną ziemię. To tu, w Burbiszkach, uprawiał koniczynę, a jej nasiona eksportował na całą Europę! Makuszyński nie pozostawał mu dłużny w sensie inwencji i kreatywności, bo mieszkając z nowo poślubioną Emilią w Barbiszkach w latach 1913-1914 sprowadził tam... prawdziwy zakopiański dom i ustawił go w parku dworskim!

Chodzimy z Wiktorem Golubskim po burbiszańskich alejkach i taka nam się refleksja rodzi, że ówczesni Polacy, choć – wydawałoby się – zagubieni gdzieś na litewskich kresach Rzeczypospolitej, której przecież wówczas nie było na mapie, byli na wskroś Europejczykami! A ich pozytywistyczna praca była ekonomicznie skuteczna, bo z jednej strony bogacili się, a z innej tworzyli miejsca pracy dla tutejszych, czyli Litwinów. Tylko dlaczego ci ostatni tak przedsiębiorczych Polaków nie lubili?... Bali się? Do końca nie wiadomo.

Opuszczając pałac w Burbiszkach rzucamy okiem na jedną ze ścian, gdzie skromnie sobie wisi akwarela przedstawiająca... dwór w podciechanowskiej Gołotczyźnie! Czyli miejsce, gdzie żył i tworzył koryfeusz polskiego pozytywizmu, Aleksander Świętochowski. Akurat tam, w pozytywistycznych Burbiszkach, ta akwarela? Przypadek? Żaden przypadek. Ktoś, kto ją tam, na Litwę, zawiózł, ofiarował i kazał zawiesić, doskonale rozumiał jedność polskiej, pozytywistycznej myśli. Że niepodległość tworzy się wraz z zachowaniem języka i duchowej tożsamości, ale tworzy się nie mniej wraz z bogaceniem się i tworzeniem codziennego dobrobytu.

Opuszczamy już zasobne Burbiszki i zmieniamy szlak. Jedziemy do słynnej z „Doliny Issy” Świętobrości, do rodzinnych stron polskiego noblisty, Czesława Miłosza.

Przejazdy pomiędzy poszczególnymi miejscowościami na Żmudzi, wcale nie-rzadko trudne i długie, bo wiodące żużłówkami i rozmiękłymi żwirówkami, sprzyjają rozmyślaniom. A rozmyślania są mniej więcej takie, że bardzo mało wiemy o Litwie, a zwłaszcza o Żmudzi – o tamtejszej, wsędobyłskiej polskości. Bo dosłownie gdzieby nie spojrzeć, to jakiś polski akcent. I to nie jakiś tam niepozorny. Kościół fundowany przez polskiego magnata, droga, równoległa do której akurat jedziemy, wytyczona już w XVII wieku z Warszawy do Rygi, znakomicie prosperujący w swoim czasie majątek, którego właścicielem był Polak, język polski, który dotąd tu, w „obcym” przecież kraju, funkcjonuje niemal na równi z angielskim czy rosyjskim, z językami w tej części Europy „międzynarodowymi”. Takie konstatacje rodzą w polskim sercu ciepło i dumę, ale są także inne, te nad wyraz skomplikowane. Jak to właściwie wszystko tutaj się historycznie potrafiło pogmatwać, że dziś bywa co najmniej niezrozumiałe?...



Kościół we wsi Świętobrość, w którym Czesław Miłosz został ochrzczony.



Tajemnic tego miejsca i losów ludzi kiedyś tu żyjących strzegą prastare dęby...



Powyżej Niewiaży we wsi Świętobrość stoi pomnik z Krzyżem na mogile 25 powstańców poległych 19 października 1863 r. w walce z przeważającymi siłami rosyjskimi.

Świętobrość to piękne i zagadkowe miejsce. To tutaj Czesław Miłosz został ochrzczony i umieścił kilka nie dających spokoju scen z „Doliny Issy”. Między innymi tragiczny, zakończony samobójstwem romans gospodyni z proboszczem... Wydaje się, że tutejszy krajobraz sprzyja takim historiom. Jest dziki i niebywale piękny. Kościół i cmentarz są zawieszone nad urwistą skarpą zbiegającą do Niewiaży, a tajemnic tego miejsca i losów ludzi kiedyś tu żyjących strzegą prastare dęby...



Członkowie Związku Literatów na Mazowszu przy tablicy Czesława Miłosza w Szetejnach.

Kilka kilometrów dalej leżą Szetejny. To tutaj, w 1911 roku urodził się Czesław Miłosz. Dziś to miejsce jest oczywiście niezwykle samym faktem, że przyszedł tu na świat przyszły Noblista, ale także faktem, że za wstęp trzeba tu... zapłacić. Jakoś tak nietaktownie ustaliły to litewskie władze.... Parkujemy zatem trochę nielegalnie przed „prywatnym centrum kultury Czesława Miłosza” (!!) jemu poświęconym, fotografujemy się przy tablicy upamiętniającej jego postać i w dość dziwnym nastroju opuszczamy to miejsce.

Wracamy do Kiejdan. Widzieliśmy je dotąd wyłącznie wieczorem, a teraz, w południowym świetle i kilka chwil przed spotkaniem poetyckim – w znanej nam już kawiarni „Savas Kampas”. Jest sposobność, żeby przejść się uliczkami tego uroczego historycznego miasteczka. Spacerujemy, kupujemy tamtejsze produkty i pamiątki.

W kawiarni już na nas czekają. Ubrane w jednolite, wieczorowe stroje panie z zespołu „Issa”.



Kiejdański zespół folklorystyczny „Issa” w trakcie występu.

Słuchamy koncertu, po raz drugi czytamy tego dnia naszą poezję. I przy kolacji delectujemy się wspólną obecnością. Tak, język jest bardzo ważny. Ten wspólny, bo polski.

I tak oto, śpiewając i poetycko kończy się ten długi i pełen wrażeń sobotni dzień....

Nazajutrz, w niedzielny poranek pakujemy bagaże i schodzimy na śniadanie do hotelowej restauracji. Zaraz pożegnamy się z Kiejdanami, jego serdecznymi działaczkami polskimi i ruszymy w kierunku Kowna.

Kowno, dawna (po Wilnie) stolica Litwy i drugie jej dziś miasto, wita nas oczywiście deszczem. Zatrzymujemy się na rozległym parkingu przed XVII-wiecznym, karmelickim kościołem Świętego Krzyża i centrum handlowym Akropolis Kaunas.

„Tutaj była Litwa, a tam... – pani Irena Duchowska pokazuje łagodną skarpe po drugiej stronie szerokiego Niemna – A tam była Korona, tam była Polska.”

Kościół – na zewnątrz i w środku – imponujący. Wielka nawa i wspaniałe, rozległe prezbiterium. I wszędzie taki dostojny, zakonny, karmelicki spokój. Na dźwięk sygnaturki wszyscy wstają, rozpoczyna się niedzielna msza, odprawiana przez ojca Emiliana Bojkę, karmelitę bosego pochodzącego z okolic Przemyśla, wieloletniego misjonarza w Burundi i duszpasterza w Argentynie. Msza święta odprawiana jest, ma się rozumieć, po polsku.

Po mszy dołącza do nas pani Franciszka Abramowicz, prezes kowieńskiego Oddziału Związku Polaków na Litwie. To ona teraz będzie naszą przewodniczką. Energicznie wskazuje, jak dojechać na Laisvės alėja pod numer 83 A-1, do Domu Polskiego w Kownie.



Siedziba kowieńskiego Oddziału Związku Polaków na Litwie.



Kowieński Oddział Związku Polaków na Litwie w środku.

Sprawnie dojeżdżamy, parkujemy, wysiadamy, wchodzimy do środka, a tam... chyba cała Polska! Dziesiątki tysięcy książek po polsku, polska flaga, godło, krzyż, wizerunki Mickiewicza, Słowackiego, Sienkiewicza, Norwida, Reymonta, świętego Jana Pawła II!



I mnóstwo serdecznie uśmiechniętych ludzi w polskich strojach ludowych. To Panie i Panowie z zespołu „Kotwica”, który już na wasze dacie arcypolski koncert.

Występ kowieńskiego Zespołu „Kotwica”.

Po wysłuchaniu kilku pieśni, polskich, tradycyjnych, ale tutaj żywych, Pani Franciszka każe się częstować. A na stołach mnóstwo pysznego jedzenia. Kanapki z wędliną, ze śledziem, ze słoniną. Przy nalewkach własnego wyrobu. Suto, wystawnie i serdecznie.

Konsumujemy, a ojciec Emilian opowiada, jak to karmelici powrócili do Kowna po stu siedemdziesięciu dwóch latach nieobecności. I jak wraz z odnowionym duszpasterstwem nieodłącznie powrócił do kowieńskiego kościoła św. Krzyża i język polski i polskość.

Nagle otwierają się drzwi i pojawia się w nich dr Paweł Krupka, polski dyplomata, zastępca dyrektora Instytutu Polskiego przy Ambasadzie RP w Wilnie. Paweł Krupka od wielu lat jest zaprzyjaźniony z ciechanowskim środowiskiem literackim, będąc m.in. aktywnym członkiem Stowarzyszenia Academia Europaea Sarbieviana. Podczas spotkania w Kownie będzie nas cieszył swymi wierszami i tworzonymi na żywo poetyckimi improwizacjami.

Już po raz trzeci podczas tej wyprawy czytamy nasze wiersze. Każde z nas po jednym, najbardziej pasującym do sytuacji. W kowieńskim Domu Polskim rozbrzmiewa więc znowu nasza poezja, z Mazowsza, z serca Polski. Trudno sobie wyobrazić lepszy akcent naszej powoli kończącej się wizyty u serdecznych Polaków na Litwie.

Po poetyckiej biesiadzie Pani Franciszka wiedzie nas jeszcze w krótką przechadzkę po deszczowej Dolinie Mickiewicza i po kowieńskiej Starówce. Najbardziej interesuje nas wątek przebywającego w Kownie młodego Adama Mickiewicza. W latach 1819-1923, po ukończeniu studiów na Uniwersytecie Wileńskim, był on nauczycielem w Kowieńskiej Szkole Powiatowej (dawnym kolegium jezuickim). Nauczał literatury, historii i prawa, opiekował się też szkolną biblioteką. Zamieszkał w przydzielonym mu pokoju szkolnego gmachu, ale nie lubił Kowna. Tęsknił za ukochanym Wilnem, cały czas prowadził aktywną korespondencję z przyjaciółmi. Cierpki smak życia w tym nadniemeńskim mieście umiał mu jedynie romans z piękną żoną doktora kowieńskiego – Karoliną Kowalską, która mieszkała naprzeciw, po drugiej stronie wąskiej uliczki. Okres kowieński był dla poety jednak bardzo twórczy. W 1822 roku ukazał się jego I tom poezji „Ballady i romanse”, a w 1823 roku – II tom „Grażyny” i „Dziady” cz. II i IV.



*Pan dr Paweł Krupka
w trakcie poetyckiej
improwizacji.*



Dolina Mickiewicza.



*Pamiątkowa fotografia
z Panią Prezes Franciszką Abramowicz
na tle kowieńskiego zamku.*

Jeszcze kilka chwil razem i już się żegnamy. Serdecznie ściskamy ze wszystkimi, obiecując nie zapomnieć i mieć kontakt z Polakami – zagubionymi gdzieś tam daleko na Litwie, ale ciągle jakże obecnymi w naszej rodzimej kulturze.

Tekst i zdjęcia: Krzysztof Martwicki

